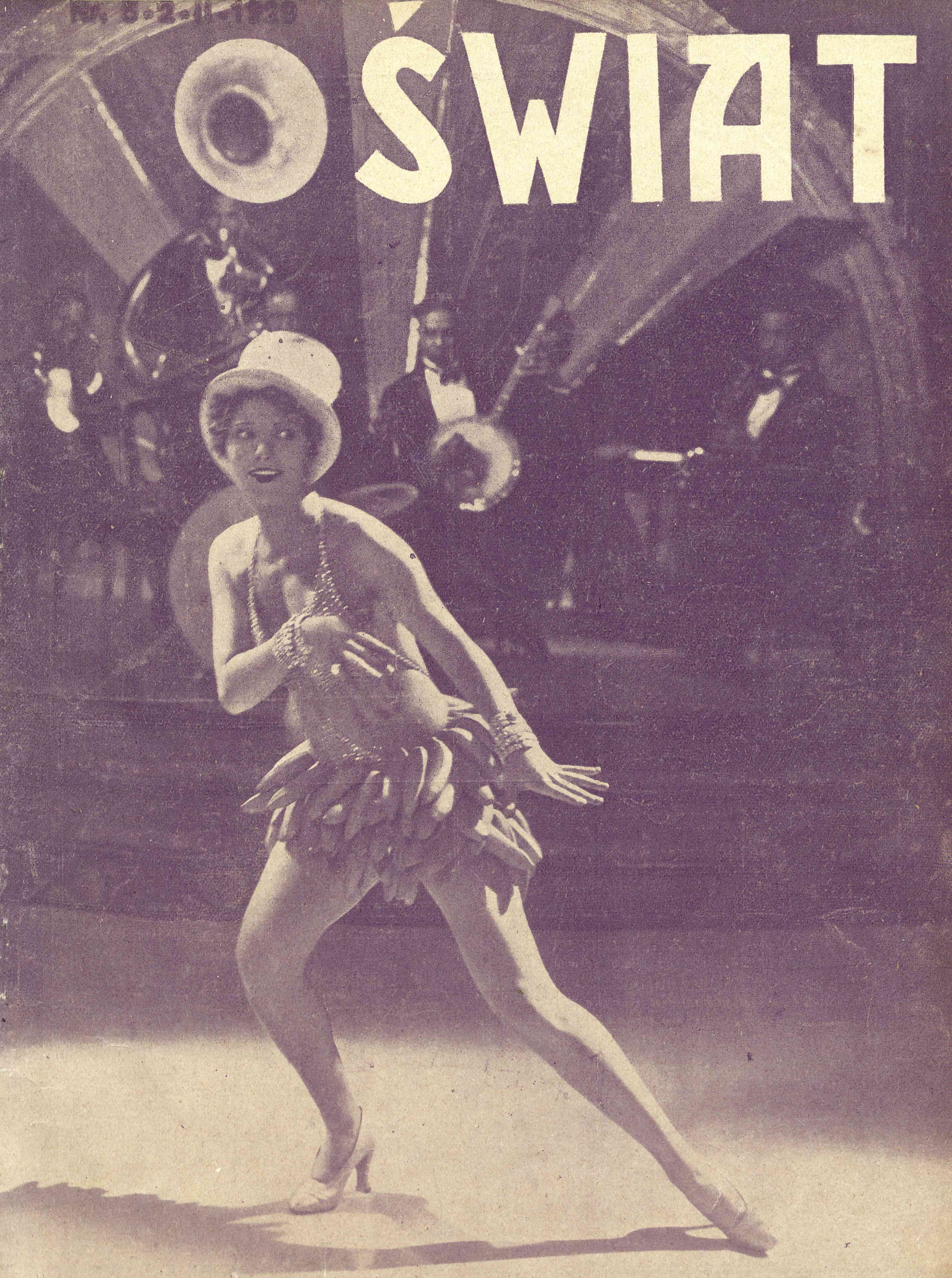


W NOCNYM DANCING'U

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV **ŚWIAT** - NR - - 5 -

WARSZAWA, DNIA 2-go LUTEGO 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



Źle pojęta miłość Ojczyzny

My, Polacy, uważamy się za naród o bardzo wysokiem napięciu patrjotyzmu. Nie będę się wdawał w szczegółową ocenę tego świetnego o sobie mniemania. Niewątpliwie, przez cały okres naszej historji porozbiorowej przewija się kuty ze szczerozłotych ogniw łańcuch czynów istotnie bohaterskich, ofiar z wolności, mienia i życia, roztapiania się w zbiorowości, która była tylko wspomnieniem, która mogła być tylko nadzieją. W niepodległej już Polsce bywały momenty, kiedy odczuć można było wyraźnie, że w piersi narodu polskiego serce bije tonem mocnym i czystym. Pier-

cerskiej Rzeczpospolita nie chodzi w kołpaku z czaplich piór. Rzeczpospolita jest szara, jak szarem jest życie człowieka pracującego. Stoi ona nie świetnemi czynami jednostek, ale wysoką wartością i przywiązaniem do niej przeciętnego obywatela. Zasadniczym warunkiem jej trwania i rozwoju jest ogólna suma patrjotyzmu u ogółu jej obywateli. Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą móc wymierzyć tę ilość w sposób możliwie dokładny. Ale narazie chodzi mi o co innego. Chodzi mi nie o ilość, tylko o jakość naszej miłości Ojczyzny. Co do ilości, powiedzmy, że była ona conajmniej wystarczająca, jeżeli pozwoliła nam przetrwać okres niewoli, nie dając sobie wyrwać języka, nie zatracając świadomości narodowej, nie pozwalając się doszczętnie znieprawić.

Mniej zadowalająco stoi sprawa pod względem jakości. Przedewszystkiem byliśmy zawsze narodem, który niebardzo umiał znaleźć i ocenić swoją właściwą wartość: cenił ją niekiedy zbyt nisko, kiedyindziej, może częściej, cenił ją nazbyt wysoko. Przy wielkiej zdolności naśladownictwa przejmował dobrowolnie obcy obyczaj, kulturę i język, niezawsze robiąc korzystną zamianę. W innych wypadkach, zwłaszcza w stosunku do narodów mniejszych i słabszych, miewaliśmy niekiedy tak wysokie pojęcie o sobie, że nie pozwalało nam ono dostrzec, iż tamci mają swoje własne formy życia, niewiadomo, gorsze czy lepsze od naszych, ale napewno bliższe im i milsze. W tym wypadku była to poprostu megalo-

manja narodowa, która niegdyś była skutkiem poczucia odrębności gatunku rodu czy szczepu, a później poprostu wyrazem pewnej próżności. Nie jesteśmy coprawda pod tym względem żadnym wyjątkiem. Każdy niemal z narodów uważał swego czasu swój kraj albo swoją stolicę za „pępek świata" poprostu. Z bardzo pod tym względem pouczającej i bardzo zabawnej broszurki p. Bystronia pod tytułem „Megalomanja narodowa" można się dowiedzieć, że w Anglji istnieje parę towarzystw, poświęcających się przekonaniu swoich rodaków, iż są właściwie potomkami zaginionych dziesięciu pokoleń żydowskich, co oczywiście daje im prawo do władania światem. Niemcy, którzy w złej czy dobrej sprawie lubią iść aż do końca, nie poprzestają już na tem, że są wybranym przez Boga narodem, ale uważają się za naród - bóstwo *(Gottvolk)*.

Myśmy tak daleko na szczęście nie zaszli. Wprawdzie mesjanizm chciał uczynić Polskę Chrystusem narodów, a poczciwy Pan Balcer Konopnickiej, kowal z podlaskiego Łukowa, unita, męczennik i wychodźca wyrzucony z Polski za morza, radzi sobie, gdyby go pytał lada kiep: *„Gdzie ziemia twoja"?*

Odpowiedź:

„Nie dbaj, łba podnieś, bo cię też [do smutku
„Nikto nie zwiąże! Zdzierż górnie [psubrata,
„Rzekąc:—A gdzieżby? W samym [środku świata...
„My, Polska, zawsze stalim bliżej [Boga".

W obu tych wypadkach mamy do czynienia z niewątpliwą przesadą, ale ta przesada ratowała ludziom życie. Na rumowisku Ojczyzny albo na dalekiem i gorzkiem wygnaniu trzeba się było leczyć bodaj mirażem od zalewającej duszę trucizny rozpaczy i niewiary. Dziś, kiedyśmy rumowisko dość znacznie już uporządkowali, kiedy kozaków, którzy gnali Pana Balcera nahajami za morze, dawno w Polsce już niema, a krew wylana na Podlasiu wsiąkła już w ziemię, czas byłoby nadać swojej miłości do kraju treść może mniej poetycką, ale bardziej rozsądną. Obawiam się bowiem, że ta przesada w uwielbianiu swojej Ojczyzny, której ślady spotykamy po dziś dzień u nas, pociąga za sobą skutki bynajmniej nie tak błahe, jakby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać.

Kto się uważa na naród - bóstwo, a choćby tylko za naród wybrany przez Boga, ten musi się domagać szczególnych przywilejów dla siebie. Więcej ziemi, więcej praw, więcej zysków. Nawet niezbyt wielkie narody marzą o tem, żeby ich państwa stały się mocarstwową potęgą; chciałyby zaawansować na „gubernatorów świata" i narzucać innym swą wolę. W tym celu zakłada się Ligi mocarstwowego znaczenia państwa wtedy, kiedy należałoby przedewszystkiem wytępić w kraju ostatecznie wszy i nauczyć wszystkich jego mieszkańców używania mydła w dostatecznej ilości. Ludzi ogarnia szaleństwo wielkich cyfr: wielkich armij, wielkich budżetów, gdyby się tylko dało, wielkich kolonji, w którychby na początek można było topić wielkie kapitały. W ten sposób rodzą się psychiczne podstawy imperjalizmu, tak, jak przez anarchiczną produkcję nadmiaru towarów, dla których trzeba siłą zdobywać nowe rynki, rodzą się jego podstawy gospodarcze.

A potem przychodzi rzecz najgorsza. Ojczyznę swoją stawia się na tak wysokim piedestale, że stoi ona tam w zupełnej niemal próżni. Norm prawnych, któreby państwo z chęcią czy bez chęci musiało wykonać, są zaledwie zaczątki. Moralność ogólnoludzka wielu ludziom wydaje się rzeczą dość mętną, jeśli nie śmieszną, zwłaszcza gdy samo słowo „ludzkość" w zestawieniu z ojczyzną wydaje im się



dość podejrzanem. Wszystko, co się tyczy państwa, jest traktowane wyłącznie z punktu widzenia celowości i jego własnego pożytku. Pro publico bono można zabijać, kraść, oszukiwać i można nawet ubiegać się o nagrodę za te chwalebne czyny. Ale ponieważ inni myślą i czynią to samo, w pewnym momencie wszystko redukuje się do prostych aktów siły. Jeżeli się samemu nie jest dość silnym, szuka się doraźnych spólników — mocniejszych.

Skutkiem tych pięknych metod była właśnie ostatnia rzeź świata. Na samo jej wspomnienie wszystkie narody wstrząsa do dziś dnia dreszcz zgrozy, co nie przeszkadza, że coraz częściej i coraz bardziej otwarcie mówi się o nowej, jeszcze gorszej rzezi.

Zdawałoby się, poco mówić to wszystko. Polityka zewnętrzna Polski jest przecież bezwzględnie i szczerze pokojowa; nie zagraża nikomu, nie pożąda niczyjego dobra. Nie zaprzeczam temu. Chciałbym tylko, aby taką pozostała nazawsze, nie z musu, nie z obawy, ale z najgłębszego przekonania, że to jest dla Polski jedyny sposób zapewnienia sobie trwałego i istotnego bezpieczeństwa. Żeby nietylko nie przeciwdziałała próbom zorganizowania pokojowego współżycia narodów, ale stała się jego najżarliwszym, najczynniejszym wyznawcą. Myślę, że w tym celu będziemy musieli jednak dokonać uprzednio dość daleko idącego przewartościowania naszych pojęć o Ojczyźnie i naszych w stosunku do niej obowiązkach. Być może, będzie nam tego łatwiej dokonać, jeżeli do tych twierdzeń teoretycznych przyłożymy trzeźwą miarkę rzeczywistości.

Mamy dwóch potężnych sąsiadów, z których jeden kwestjonuje nam granice, drugi zaś podkopuje się pod ustrój społeczny. Nie wiem, czy już czas mówić o grożącym Polsce wcześniej czy później ataku. To pewna, że znajduje się ona pod straszliwą presją tych dwóch kolosów o olbrzymiej masie, wielkiej prężności i złych tradycjach historycznych. Pozatem mamy sojuszników, traktujących nas nieco, jak ubogich krewnych z prowincji, którzy mają jakieś przykre procesy w mniej znanych sprawach i którzy mogą lada dzień poprosić o pomoc materjalną w najmniej odpowiednim momencie. Jeden z możnych tego świata, p. Mussolini, oświadcza publicznie, że jego zdaniem małe państwa za kilkadziesiąt lat znikną poprostu z mapy, a my wciąż jeszcze nie wiemy, od ilu to miljonów

mieszkańców i ilu tysięcy armat zaczyna się duże państwo; nie wiemy więc, czy w tym uniwersalnym szlachtuzie mamy być tymi, którzy rżną, czy tymi, którzy idą pod nóż. Wewnątrz mamy ciągle jeszcze zbyt wielkie pozostałości polskiego nacjonalizmu, który się szczyci swoim zdrowym egoizmem narodowym i dość częste sny o potędze, która narazie jest tylko snem. Ligi Narodów nie nazywamy już żydowską budą, ale kiedy w Anglji jest stokilkadziesiąt tysięcy jej zorganizowanych przyjaciół, nasz polski odpowiednik tej instytucji jest chudym aplegierkiem, co się dzieje może dlatego, że dla większości czytelników naszych gazet Liga Narodów to tylko parawan, za którym się robi rzeczy nieprzyzwoite. Zawiesiliśmy narazie na kółku nasz spór o orjentacje, ale stało się to oczywiście dlatego, że wybór z Rosją przeciwko Niemcom, czy z Niemcami przeciwko Rosji jest zgoła nieaktualny i byłby w obecnej chwili właściwie wyborem pola, na którem chcielibyśmy nadłamać sobie karku.

Wszystko to razem wygląda dość niepewnie. Próżnem byłoby, poświęcając wszelkie względy, odrzucając wszystkie skrupuły, budować wielką siłę jako *ultima ratio*, jeżeli nie wiemy, kiedy przyjdzie kryzys i czy zdążymy ją wybudować. Pewniejsza, może jedynie pewna droga, wydaje mi się, szukając bezpieczeństwa, iść ku zasadniczej przemianie świata, iść do stworzenia społeczeństwa narodów, w którem narówni z mocarstwami małe państwa będą miały prawo do ziemi i pracy. Może to być wznowienie zasad protokułu genewskiego, dodanie sankcyj do paktu Kelloga czy utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy. Musi to być przedewszystkiem rozbrojenie moralne, bez którego żadna formuła prawna, dająca światu pokój, nietylko nie utrzyma się, ale bodaj nie zostanie nawet wynaleziona. Ale rozbrojenie moralne to przecie nie co innego, jak zmiana dotychczasowych pojęć o ojczyźnie, to, powiedzmy otwarcie, pewne, nieznaczne zresztą, ograniczenie jej suwerenności, to zakazanie sobie i innym pewnych chwytów w międzynarodowej walce o byt, to zrozumienie, że obok czy ponad pojęciem ojczyzny istnieją prawa ogólnoludzkiej moralności, których łamanie nie leży w jej interesie.

Zbyt wielu ludziom w Polsce wydają się te poglądy być mrzonką, bezpłodnym idealizmem, śmiesznością. Jeżeli to jest idealizmem, co u licha jest realizmem? Trzynaście miljonów trupów na pobojowiskach i setki miljardów długów, które różnym państwom łamią grzbiet pacierzowy? Czy może tajne zbrojenia jako akompanjament not pokojowych? Czy wreszcie nasze 30 miljonów ludności wobec przeszło 200 miljonów Rosjan i Niemców? Bezwzględna pokojowość jako jedyna dla Polski polityka jest najwidoczniej oczywistością, jeżeli zarówno sejm i rząd, jak cała prasa popiera wszystko, co zbliża nas do zorganizowanego pokoju. Nie wątpię w szczerość tego poparcia. Chodzi mi tylko o to, aby jaknajwiększa u nas ilość ludzi wpoiła w siebie głębokie przekonanie, iż jest naszym najwyższym interesem, warunkiem naszego utrzymania się na powierzchni—rozwinąć jaknajwiększą energję dla ustalenia nowych, innych i lepszych form współżycia narodów.

Nie przeszkodzi to nikomu budować istotnej wielkości swojego kraju. Powiększyć polskie bogactwo materjalne, podnieść myśl polską do wysokiego lotu. Wyciągnąć z ziemi wszystko, co dać może. Zapewnić każdemu obywatelowi wszystko, czego potrzebuje do życia, do dobrego, jasnego życia. Dużo sprzedawać i dużo kupować. Być pożytecznym innym narodom. Wydaje mi się, że Polska w końcu XVIII w. zginęła między innemi dlatego, że nie była nikomu i do niczego potrzebna. A jeżeli nas mimo wszystko ktoś chciałby brać za gardło, bronić się, bo poddaje się bez oporu tylko naród nikczemny.

Stanisław Thugutt

uadalupe

de Guadalupe

...zyjnej przestrzeni od Rio Grande do Guatemali, to jednakże cały okrągły rok dziesiątki tysięcy pielgrzymów wraz z księżmi zjeżdżają pociągami do Guadalupy. Nadto każdy poszczególny stan ma własny dzień Matce Boskiej z Guadalupy poświęcony.

A oto legenda, przywiązana do cudownego obrazu:

Działo się dziesiątego roku panowania hiszpańskiego. Fr. Don Juan de Zumarraga był pierwszym biskupem meksykańskim, zaś Juan (Chuan) Diego był „biednym i skromnym" Indjaninem, liczącym sobie pięćdziesiąt ośm lat życia. Mieszkał razem ze swym wujem, Bernardinem Diego, blisko wzgórka Tepeyak, gdzie teraz znajduje się wioska.

Wczesnym rankiem dnia 9 grudnia, 1531 roku, Juan udał się w drogę dla wysłuchania mszy. Mijając Tepeyak, usłyszał niebiańską muzykę, a podniósłszy oczy, ujrzał wielką jasność, wśród której stała piękna kobieta, ubrana tak, jak jedna z dam wice - królewskiego dworu. I usłyszał słodki, melodyjny głos: „Mój synu, Juanie Diego, dokąd idziesz?".

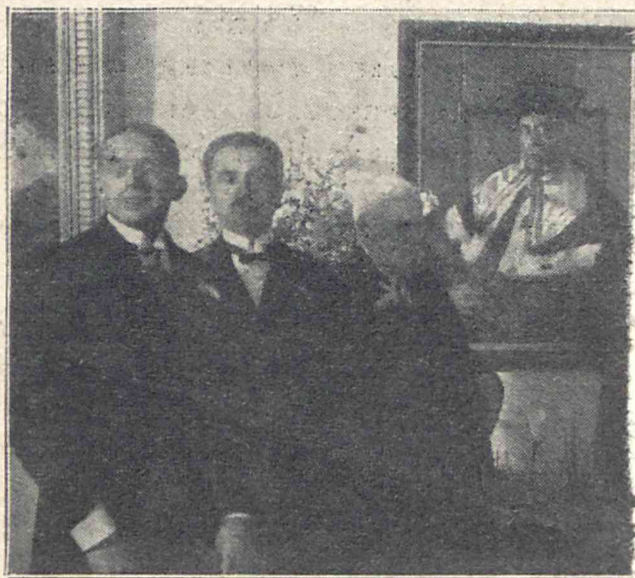
„Idę, szlachetna Pani", odparł Diego, „wysłuchać mszy świętej zgodnie z rozkazami Boga i jego kapłanów".

Wtedy Dama odezwała się znowu językiem indjanina: „Wiedz, mój ukocha...

70-LECIE EX-CESARZA NIEMIEC



Wilhelm II, b. cesarz niemiecki, obchodził uroczystość w Doorn 70-lecia swoich urodzin. Monarchistyczne Niemcy z okazji tej skorzystały, by wyrazić swoje wiernopoddańcze uczucia. Nawet prezydent Hindenburg nie omieszkał pospieszyć z odpowiedniem pismem gratulacyjnem



Członkowie b. Komitetu Odbudowy U wej ku prawej stronie: prof. dr. Stanis lankowski, prof. mg. Alfons Parczews prof. Ferdynand Ruszczyc, Zygmunt N rektora Józefa Ziemackiego do

Universitas Batore

Dziesięć lat temu w mieszkaniu prywatnem dziekana wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego, zasłużonego prof. Alfonsa Parczewskiego, odbywała się osobliwa konferencja. W miesiąc zaledwie od ogłoszenia niepodległości Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, w warunkach niezmiernie ciężkich, wśród wysiłków dokoła utrwalenia samodzielności — kilku mężów nauki pod prezydencją dziekana wydziału teologicznego, ks. Antoniego Szlagowskiego, deliberowało nad koniecznością wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego! Inicjator tej myśli, prof. Stanisław Władyczko, wygłosił referat p. t. „O konieczności najrychlejszego wznowienia Wszechnicy Wileńskiej" i przedłożył materjały potrzebne do realizacji tego zamierzenia.

Wyłoniona została specjalna komisja, dla pomocy której utworzono przy komisji litewskiej w Warszawie Komitet Warszawski odrodzenia Wszechnicy Wileńskiej w składzie następującym: prof. A. Parczewskiego, jako prezesa, prof. St. Ptaszyckiego, Eustachego ks. Sapiehy, prof. Wł. Zawadzkiego, prof. Kaz. Noyszewskiego, prof. St. Władyczko i dr. Mar. Moralewskiego.

Z ramienia tego komitetu przybywa do Wilna prof. St. Władyczko i tu razem ze ś. p. prof. Ziemackim podejmuje akcję wskrzeszenia Uniwersytetu.

W dniu 30 grudnia 1918 r. Komitet Polski w Wilnie ogłasza specjalny akt wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego, pięknie zreda-

na Batorego, na mocy akt[...] cyjnego z dn. 7 lipca 1578 roku Uniwersytet Wileński istniał zgórą półtrzecia wieku, spełniając, jako ośrodek wyższej kultury, doniosłe zadanie, nakreślone mu przez wielkiego Twórcę, aby był źródliskiem dóbr naukowych i emporium wiedzy dla całej północy — ku pożytkowi mieszkańców i chwale wielkiej krainy, która — wedle słów



Ś. p. Rektor Prof. Józef Ziemacki

fundatora, w niepospolite dowcipy płodna i we wszystkiem kwitnąca, tym jednakże niepomiernym niedostatkiem upośledzona była, że nie miała Szkoły wyższej, w której wyższy wykład potrzebnych nauk mógłby się odbywać".

Rozmaite w ciągu wieków przechodząc koleje*), wielu pełnych nauki, cnoty i zasługi wydając mężów — zarówno wśród profesorów, jak uczniów — szczególnie znakomite przeżywał Uniwersytet wileński chwile po reformie świeckiej, przeprowadzonej przez Komisję Edukacyjną w r. 1781, jako t. zw. „Szkoła Główna Litewska" i wreszcie po reorganizacji w r. 1802, w początkach XIX w., jako „Cesarski Uniwersytet Wileński" za kuratorji Adama Czartoryskiego.

„**W r.** 1832, po walce narodowej o niepodległość, polski Uniwersytet wileński ze względów policyjno-politycznych, został zniesiony, a zabezpieczony przez akta fundacyjne, jako własność narodowa, jako dorobek materjalny, w części uległ zniszczeniu, w części odebrany przemocą został i rozdany zakładom obcym...

„Zważywszy, że zniesienie Uniwersytetu Wileńskiego miało wyłącznie cele policyjno-polityczne na względzie, dobru kraju i jego całej ludności wręcz wrogie;

„zważywszy, że zniesienie to i odebranie uniwersytetowi uposażenia sprzeczne było z zaręczeniami fundacyjnemi, które Uniwersytetowi wileńskiemu, jako wyższej uczelni — jego prawa, prerogatywy i własność w sposób uroczysty na wieczne czasy nienaruszalnie warowały;

„zważywszy, że zniesienie Uniwersytetu było wtrąceniem kraju w stan barbarzyństwa i ciemnoty, było krzyczącem bezprawiem prze-

*) *Patrz „Świat" Nr. 13 z dn. 31.III. 1928 r. „Dzieje i rozwój Uniwersytetu Wileńskiego".*

rodajne, proponowały zorganizowanie narazie wyłącznie wydziału humanistycznego, względnie liceum stawiając na później — skoordynowana wola i praca organizatorów powołały odrazu do życia cztery fakultety: teologiczny, prawa i administracji, lekarski, tudzież filozoficzny w zakresie dwuch sekcyj: matematyczno-przyrodniczej i humanistycznej — oraz pododdziały: agronomiczny, weterynaryjny i farmaceutyczny.

Na rektora upatrzono prof. Józefa Ziemackiego.

*

I oto, ani spodziewali się szlachetni inicjatorowie, kiedy myśl ich zrealizowana została co do joty.

Wnet po zajęciu Wilna przez bohaterską armję Naczelnego Wodza, Józef Piłsudski mianuje dra Ludwika Kolankowskiego swoim pełnomocnikiem do spraw Uniwersytetu Wileńskiego. Ów zatwierdza przedłożone mu plany rektora J. Ziemackiego i udziela odpowiedniego funduszu na realizację zasłużonej instytucji.

Niebawem prof. Ferdynand Ruszczyc wnosi projekt stworzenia wydziału Sztuk Pięknych. Następuje rewindykacja gmachów uniwersyteckich, układa się preliminarz, wygotowuje się kilka statutów uniwersytetu, wreszcie werbuje się ciało profesorskie.

Oto czego w błyskawicznem tempie dokonała inicjatywa prof. Ziemackiego i prof. Władyczki.

Stało się tak, jak być musiało. Odwieczna wszechnica Batorego znów otworzyła swe podwoje, dając wiedzę i kulturę północno-wschodnim krajom Rzeczypospolitej. Podążyli do niej tłumnie nietylko Polacy, ale i Białorusini, i Litwini, i Żydzi, gdyż w obliczu zasług i nauki Uniwersytet wileński zawsze stał na straży dalekoidącej tolerancji narodowościowej!

*

Po dziesięciu latach zebrało się skromne grono pierwszych założycieli uniwersytetu. 13 grudnia 1928 roku znowu zeszli się członkowie b. Komitetu Wykonawczego Odbudowy Uniwersytetu Wileńskiego.

Nie wszyscy wprawdzie. Pięciu zabrała śmierć. U stołu prezydjalnego w sali Senatu zasiedli już tylko prof. prof.: Władyczko, Ruszczyc, pp. Umiastowski, Nagrodzki, Latwis i Stankiewicz. Tylko ci otoczyli portret pierwszego rektora Wszechnicy Wileńskiej prof. Ziemackiego.

Zagaił zebranie b. pełnomocnik Marszałka Piłsudskiego do spraw uniwersytetu, prof. Kolankowski i na przewodniczącego zawezwał profesora Stanisława Władyczkę.

Oddano hołd zmarłym towarzyszom. Przez powstanie uczczono niepożyte zasługi Józefa Piłsudskiego dla Uniwersytetu. A potem przypomniano te zabiegi, zgryzoty i troski, jakie towarzyszyły powołaniu do życia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Wielki dzień, związany z dziesięcioleciem wskrzeszonej Wszechnicy, który łączy się z 350-letniem ufundowaniem uniwersytetu przez Króla Stefana Batorego, odłożono do października 1929 r.

E. M. Schummer

MINIATURZYSTA POLSKI

Druk i rytownictwo w drzewie, stali i miedzi zadały śmiertelny cios sztuce iluminowania rękopisów. Bezcelową stała się mrówcza, żmudna praca mnichów i laików, którzy w kolory tęczy zdobili karty pergaminu, ku uciesze dusz pobożnych, oraz wytrawnych smakoszów. Miniatura wyradza się szybko w echo zdrobniałe malarstwa portretowego, odgrywa rolę barwnej fotografji w ciągu paruset lat przed wynalazkiem Daguerre'a. Tchnienie entuzjazmu, wielkiej sztuki, zdawało się, odleciało z niej nazawsze.

Gdy zaś się zważy fazy rozwoju malarstwa w 19-ym i zwłaszcza w 20-ym wieku, gdy się przypomni doktrynę estetyczną modernizmu z tendencją do brutalnych syntez i deformacyj, miniatura wydaje się dziś jakimś archaicznym przeżytkiem, anomalją, nieprawdopodobną, nieistotną. Aż oto znalazł się artysta, który tej rzeczy niewiarygodnej dokonał, który wskrzesił wielką twórczą minjaturę, nawiązując do świetnej jej tradycji z czasów średniowiecza i renesansu. Dziwnem zaiste zrządzeniem losu tym artystą jest Polak, łodzianin, p. *Artur Szyk*.

Jako młodzieniec, bierze udział w wycieczce do Palestyny. W zetknięciu się ze Wschodem, jego architekturą i minjaturą pragnienia artystyczne p. Szyka przybierają kształt realny. Rozkocha się bodaj nazawsze w tej starożytnej formie, odda jej zapał swój i rozmach, wypowie w niej swe ideały i tęsknoty artysty. Po powrocie do kraju — wyjazd do Paryża, studja nad cudownemi manuskryptami szkoły francuskiej... P. A. Szyk pozostanie wiernym uczniem tej szkoły, która w okresie pomiędzy XIII-ym a XV-ym wiekiem osiągnęła szczyt rozkwitu.

Wojna przerwała, na szereg lat jego karjerę artystyczną. Służy w armji rosyjskiej, potem wstępuje do wojska polskiego, odbywając kampanję kolejno w wydziale propagandy, w kawalerji i jako dowódca oddziału partyzantów. Po pogromie bolszewików, powraca nareszcie do swych robót. Dwie wystawy w Paryżu zdobyły mu szybki i zasłużony rozgłos. Zdobi minjaturami kilka luksusowych wydawnictw. Sukces nie zmienia jego skromnej, głębokiej natury. Trzyma się na uboczu od hałasów i swarów tartaku artystycznego w Paryżu. Nie znaczy to, by chciał się zamknąć w wieży z kości słoniowej sztuki dla sztuki. Przeżywa intensywnie rozwój wypadków w kraju. Serce patrjoty boleje nad niesnaskami rodaków, nad krzywdą, którą wyrządzają nam oszczercy, za pretekst biorący rzekome prześladowanie u nas mniejszości narodowych.

Z uczuć tych powstał plan — gigantyczny — uświetnienia chwały wiekuistej dobroci i liberalizmu Polski — w szeregu manuskryptów iluminowanych, ilustrujących najpiękniejsze akty rozumu stanu polskiego względem innych ludów na terenach Rzeczypospolitej.

Pierwszy z nich mogliśmy podziwiać zupełnie wykończony — w galerji Decour'a. Jest to Statut Kaliski — nadany żydom przez Bolesława I-go Pobożnego, księcia wielkopolskiego. Przywilej ten fundował im opiekę i wolności, których żaden inny kraj na świecie naówczas im nie przyznawał. Wydany w 1264 r., kolejno był potwierdzany przez różnych książąt i królów polskich.

P. Szyk poświęcił statutowi 44 plansze — w ośmiu językach: łacińskim, polskim, francuskim, angielskim, niemieckim, hebrajskim, włoskim, hiszpańskim. Każda strona skomponowana jest bez zarzutu. Po prześlicznej dedykacji Marszałkowi J. Piłsudskiemu, przychodzą miniatury większe i mniejsze — obrazki historyczne, drobne przyczynki rodzajowe — głowy — winiety. Poczynając od wspomnień z najazdu tatarskiego poprzez wiek XIV — XVI, XVII, potrąca w ilustracjach epizody obrony Pragi, walkę na barykadach w 1905 r. Zamyka rzecz fryzem — z żołnierzy odzyskanej Ojczyzny. Realizm zwięzły i precyzyjny w traktowaniu tła i postaci łączy się z nowoczesną jędrnością i unikaniem rozwichrzenia. Tekst pojmuje artysta czysto graficznie, zamykając go w jedną całość z minjaturami; unika przeładowania szczegółami.

Nawet dla tych, co nie są miłośnikami wskrzeszeń starych rodzajów, Statut p. Szyka pozostanie oryginalnem, przepięknem dziełem.

Paryż. *E. Woroniecki*

STATUT KALISKI Z ILUMINACJAMI ART. MAL. A. SZYKA

Hetman

Fot. S. Londyński

Gdańsk

Epizod z obrony Pragi, przed siepaczami Suworowa



Katedra w Guadalupe

Nuestra Seniora de Guadalupe

Jak podróż po Polsce nie byłaby kompletna bez odwiedzenia Częstochowy i Ostrej Bramy i bez zapoznania się z przywiązanemi do cudownych obrazów podaniami, tak i cudzoziemiec do Meksyku przyjeżdżający nie może pominąć udania się do Guadalupy, aby zwiedzić miejscową katedrę, tak wybitną w religijnem życiu tego kraju odgrywającą rolę. Miejscowość leży tuż pod miastem Meksykiem i posiada wygodne połączenie tramwajowe.

Jakkolwiek dzień 12 grudnia jest specjalnie poświęcony Matce Boskiej z Guadalupy, dzień obchodzony uroczyście na olbrzymiej przestrzeni od Rio Grande do Guatemali, to jednakże cały okrągły rok dziesiątki tysięcy pielgrzymów wraz z księżmi zjeżdżają pociągami do Guadalupy. Nadto każdy poszczególny stan ma własny dzień Matce Boskiej z Guadalupy poświęcony.

A oto legenda, przywiązana do cudownego obrazu:

Działo się dziesiątego roku panowania hiszpańskiego. Fr. Don Juan de Zumarraga był pierwszym biskupem meksykańskim, zaś Juan (Chuan) Diego był „biednym i skromnym" Indjaninem, liczącym sobie pięćdziesiąt ośm lat życia. Mieszkał razem ze swym wujem, Bernardinem Diego, blisko wzgórka Tepeyak, gdzie teraz znajduje się wioska.

Wczesnym rankiem dnia 9 grudnia, 1531 roku, Juan udał się w drogę dla wysłuchania mszy. Mijając Tepeyak, usłyszał niebiańską muzykę, a podniósłszy oczy, ujrzał wielką jasność, wśród której stała piękna kobieta, ubrana tak, jak jedna z dam wice - królewskiego dworu. I usłyszał słodki, melodyjny głos: „Mój synu, Juanie Diego, dokąd idziesz?".

„Idę, szlachetna Pani", odparł Diego, „wysłuchać mszy świętej zgodnie z rozkazami Boga i jego kapłanów".

Wtedy Dama odezwała się znowu językiem indjanina: „Wiedz, mój ukochany synu, że jestem wiecznie żyjąca Marja Dziewica, Matka Boga Prawdziwego. I jest mojem pragnieniem, aby wzniesiono na tem miejscu świątynię, gdziebym mogła okazywać swą spółczującą miłość szukającym mej pomocy i zwracającym ku mnie zapłakane oblicza. Idź do Meksyku i powiedz biskupowi wszystko, coś widział i słyszał!".

Po upływie godziny Diego pukał już do bram biskupiego pałacu, lecz wrota nie prędko się przed nim otwarły. Kiedy Indjanin opowiedział wreszcie to, co mu powiedzieć kazano, oblicze biskupa pokryło się wyrazem litościwego niedowierzania.

„Śniło się biedakowi. Usuńcie go", powiedział do służby.

Skromny posłaniec, krocząc w pyle wiejskiej drogi, spotkał znowu Dziewicę, która czekała na niego, chcąc usłyszeć o wyniku wizyty u biskupa. Wtedy Juan powiedział:

„Biskup jest zdania, że świątynia, jakiej sobie życzysz, jest moim wymysłem, nie Twoją wolą, błagam Cię przeto, poślij kogo innego, komuby uwierzono, wiadomo Ci bowiem, że jestem tylko *un pobre villano, humilde y plebeyo*".

Ale Matka Boska przerwała mu, oświadczając, że właśnie on jest jej wybranem narzędziem, i rozkazując, aby wrócił do biskupa.

Następnego ranka Diego stanął znowu przed bramami pałacowemi, błagając ze łzami o wpuszczenie. Tym razem Juan widocznie zdołał uczynić pewne wrażenie, biskup bowiem powiedział: „Niechaj ci Matka Boża da jakiś znak, abym mógł wiedzieć, że cię istotnie posłała".

A kiedy Indjanin odszedł, posłał za nim dwuch ze swej służby pałacowej.

Niewidziani przez Juana poszli za nim aż do stóp Tepeyaku, gdzie im znikł nagle, i, mimo starannego poszukiwania, odszukać go nie mogli. Wróciwszy do miasta, oświadczyli, że Indjanin jest poprostu oszustem i zalecili ukaranie go. Właśnie w tym samym czasie, kiedy słudzy biskupa tak go szkalowali, klęczał poraz trzeci, błagając o znak, którego biskup się domagał.

„Przyjdź jutro, a otrzymasz znak", odparła Dziewica.

Juan przyrzekł stawić się nazajutrz wczesnym rankiem, ale nie dotrzymał słowa. Wuj jego, Bernardino, zapadł na śmiertelną gorączkę, to też o świcie, zapominając o wszystkiem, wybrał się po spowiednika. Zbliżywszy się atoli do wzgórka, przypomniał swoje przyrzeczenie, a bojąc się, że w razie spotkania Dziewicy, zostałby powstrzymany w drodze, a wuj mógłby umrzeć bez spowiedzi, zaczął iść dokoła inną drogą. Ale oto nagle Matka Boska stanęła przed nim i ze spuszczonym wzrokiem zapytała:

„Dokąd idziesz, mój synu, i jaką-że to drogę obrałeś?".

Upadłszy na kolana, Juan opowiedział, w jakim stanie znajduje się jego wuj. Ale Matka Boska pocieszyła go, mówiąc:

„Czyż nie jestem twoją Matką? Wuj twój już nie cierpi. Choroba opuściła go".

Upadłszy na kolana, Juan opowiedział,

„Wejdź, mój synu", rzekła Dziewica, wskazując na wierzchołek wzgórka, „zetnij znalezione tam róże, owiń je w swój płaszcz i przynieś je tutaj. Wówczas powiem ci, co masz czynić i mówić".

Jakkolwiek wiedział doskonale, że róże nigdy nie rosły na piaszczystym wzgórku Tepeyaku, Juan wszedł jednakże na górę i ujrzał piękny ogród róż, pokrytych rosą i woniejących.

Rozradowany Indjanin, wróciwszy, podał róże Dziewicy. Ona pobłogosławiła je i złożyła z powrotem w płaszczu Indjanina, tak zwanej *tilmie*.

„Oto znak dla biskupa", powiedziała, wręczając Juanowi tilmę, „powtórz mu mój rozkaz".

Juan musiał formalnie przebić się przez drwiące sobie z niego straże, kiedy ponownie stanął w pałacu biskupim. Kpili sobie z niego i wyśmiewali się zeń, usiłując wyrwać mu róże. Przebiegłszy atoli szybko, stanął przed obliczem biskupa, wysypał róże u jego stóp, gdy oto — widoczny — to cud boski — obraz Matki Boskiej ukazał się na tilmie.

I oto tego samego dnia bosy peon (wieśniak meksykański) prowadził procesję wielkich dostojników Kościoła po zakurzonej drodze ku pustkowiu, wybranemu przez Matkę Bożą dla swej świąty-



Obraz cudownej Matki Boskiej z Guadalupe

ni. Tutaj wszystko znaleziono tak, jak powiedział. Natychmiast tedy wzniesiono świątynię, jakkolwiek obecna katedra została wykończona dopiero w roku 1709. Przez kilka lat świętą tilmę z obrazem Dziewicy przechowywano w rezydencji biskupiej, ale skoro tylko w Guadalupie wykończono kaplicę, przeniesiono ją z taką pompą, jakiej przedtem Nowa Hiszpanja nigdy nie widziała.

Uznanie Matki Boskiej z Guadalupe jako Patronki i Opiekunki Nowej Hiszpanji uzyskano na mocy Bulli Papieskiej z dnia 25 maja 1754 roku, a więc w dwieście lat przeszło po zaszłym cudzie.

Obraz Matki Boskiej jest przykryty szkłem, tak, że trudno osądzić, w jaki sposób został przeniesiony na płótno. Podobno uczeni i artyści badali kilkakrotnie obraz, pragnąc go bliżej określić, nigdy wszakże nie zdołali ocenić, czy został wymalowany, utkany, lub też wykonany w jakikolwiek inny znany sposób. Tilma zdaje się być około półtora metra długa i około pół metra szeroka. Jakkolwiek arcydzieła, pokrywające ściany świątyni, zbladły z czasem, obraz na tilmie jest tak świeży, jak był blisko czterysta lat temu.

Wycieczka do Guadalupy jest łatwa i niekosztowna: można się dostać każdej chwili tramwajem z miasta Meksyku. Katedra nie imponuje ani rozmiarami, ani piękną architekturą: ciężka, z kamienia zbudowana, ma po dwuch rogach dwie pełne dzwonów wieże.

Fasada jest w całości prawie pokryta rzeźbami: dwadzieścia kamiennych kolumn podpiera fryzy pierwszej i drugiej elewacji. Pomiędzy każdemi dwiema kolumnami mieszczą się kamienne figury naturalnej wielkości. Ponad głównem wejściem mieści się spora rzeźba, przedstawiająca scenę w domu biskupa, kiedy to Juan Diego, wysypując z tilmy róże, ukazał obraz Matki Boskiej.

Na ścianach wewnętrznych znajduje się pięć fresków: wszystkie treścią związane z historją cudownego obrazu i jego dziejów.

Główny ołtarz, mieszczący właśnie ramę ze świętą tilmą, jest cały z marmuru kararyjskiego, ozdobiony złoconym bronzem, a wykonany w Kararze przez rzeźbiarza Nicoli wedle rysunków meksykańskich artystów Agea i Salome Pina. Po lewej stronie znajduje się postać biskupa Juana Zumarragi, po prawej Juana Diego, także wykonane w marmurze kararyjskim. W półmroku osobliwe wrażenie czyni klęcząca przed ołtarzem marmurowa postać mgr. Labastida y Davalos, arcybiskupa Meksyku, którego staraniem świątynia została wzniesiona.

Koronacja obrazu odbyła się w roku 1895, a przeszło sto tysięcy pielgrzymów uczestniczyło w uroczystości. Korona, przechowywana w stalowej szafie w zakrystji, jest wysadzona drogiemi kamieniami, wartości przeszło 800.000 pezów, czyli przeszło 400.000 dolarów. Jeden z jubilerów paryskich otrzymał 15.000 dolarów za samo osadzenie kamieni w koronie.

Przyjechawszy rano, trafiłem właśnie na chwilę wychodzenia mszy uroczystej: kilku księży kosztownie ubranych i cały szereg ustrojonych małych chłopców z kadzielnicami, świecami i t. d., dodawali mszy powagi i malowniczości. Mimo, że to był dzień powszedni, spora ilość pobożnych znajdowała się w świątyni, z których każdy stawiał mniejszą lub większą świecę, stosownie do stopnia pobożności, czy zamożności.

Wszakże ponieważ ilość lichtarzy i lichtarzyków, jakoteż miejsca na stołach, gdzie świece stawiać można, jest bardzo ograniczona, przeto żadna nie ma czasu wypalić się w całości. Specjalny sługa kościelny ustawicznie usuwa i gasi jedne świece, robiąc miejsce dla innych: wszystkie zapewne wracają z powrotem do fabryki, ulegając ponownemu przetopieniu z tem samem, co poprzednio, przeznaczeniem.

Wojciech Szukiewicz

W uzupełnieniu naszej notatki o wystawie Sztuki Polskiej w Brukseli, późniejsze informacje świadczą, że prasa belgijska okazała żywsze zainteresowanie tą imprezą. Sprawozdania i notatki zamieściły wszystkie nieomal poważniejsze dzienniki, zarówno brukselskie, jak prowincjonalne. Niektóre z nich, jak „Le Soir", „L'Imdépendance belge" i „Le Peuple", dały reprodukcje wybitniejszych obrazów polskich. W ten sposób publiczność belgijska zaznajomiła się z całokształtem twórczości polskiej; wyłuszczone zostały najważniejsze kierunki, wpływy Zachodu i Wschodu na rozwój sztuki polskiej, podkreślone zostały charakterystyczne i odrębne cechy twórczości polskiej. Mimo tedy nieszczególnych wyników pod względem materjalnym, Wystawa brukselska, wzorowo zorganizowana przez dyr. Miecz. Tretera, spełniła swoje zadania i osiągnęła zamierzony cel.

Należy dodać, że nasz dotychczasowy poseł w Brukseli, p. Tytus Filipowicz, szczególnie interesuje się sprawami literatury i sztuki polskiej, konsekwentnie i stale torując drogę twórczości polskiej do zdobycia rynków zachodnio-europejskich. Pod tym względem p. Filipowicz wyróżnia się wśród naszych dyplomatów, odnoszących sę naogół do tych spraw wcale obojętnie.

ZGON WICE - PREZYDENTA WARSZAWY

Dnia 25 stycznia rb. zmarł w Warszawie dr. Wincenty Bogucki, wice-prezydent m. st. Warszawy. Urodził się on w 1871 r. w Martynowicach, ziemi kijowskiej. Studja uniwerysteckie na wydziale medycznym skończył w Kijowie. Jako lekarz był czynny w Odesie, w Archangielsku i Saratowie. Był wice-ministrem spraw wewnętrznych w gabinecie Kiereńskiego. W r. 1918 wybrano go na stanowisko prezydenta m. Odesy. Dr. Wincenty Bogucki powrócił do Polski w r. 1921. Wstąpił do wojska w randze pułkownika. Obejmuje też stanowisko naczelnika wydziału VI zdrowia w magistr. warszawskim. W r. 1927 wybrano go na stanowisko wice-prezydenta naszej stolicy. Wolna ojczyzna odznaczyła dr. Boguckiego orderem „Polonia Restituta".



Śp. W Bogucki

NA CZEŚĆ PREZ. H. HOOVER'A

W dniu 16 stycznia odbyła się w Brukseli, w obecności króla i królowej, uroczysta akademja na cześć prez. Hoover'a. Zorganizował ją rząd, pragnąc w ten sposób wyrazić wdzięczność szlachetnemu Żywicielowi Belgji podczas wojny. Naczelne przemówienie wygłosił p. Jaspard, szef obecnego rządu, — na porządku dziennym obchodu znalazł się wiersz, napisany przez głośnego poetę belgijskiego, Jerzego Vaxelaire'a. Wiersz ten, w przekładzie p. N. Kaszubianki, brzmi, jak następuje:

GEORGES VAXELAIRE

DO PANA H. HOOVER'A

Jak bóg pełen tryumfu, w głębi niebios cieniu,
Tak Tyś dziś jest wybrany, przez naród, co w górze
Brał do swoich sztandarów z słońca po promieniu
I gwiazdy brał błyszczące na niebios lazurze.

Gwiazdo... czyż w pierwszych chwilach wojennego drżenia
Nie byłeś dla nas gwiazdą, co hen zdala świeci,
Do której, nigdy próżno, błagalne spojrzenia
Zwracały tyle razy i matki i dzieci.

Promieniu... gdy czarną chmurą horyzont pokryły
Chmary drapieżnych ptaków, w swym śmiertelnym locie,
Czyż nie byłeś promieniem, światłem pełnem siły,
Do którego z nadzieją szły zgłodniałe krocie.

Bez Ciebie, Panie Hoover, w tych strasznych godzinach,
Gdy wiecheć w ręku zbira jako sztandar płonie,
Nikt by nie wiedział nawet o Ojczyzny synach,
Co ginęli, jak kwiecie, w grobu czarnem łonie.

Bez Ciebie i Frankiego, których dwa imiona
Wyryte są tu w sercach, Belgja by ujrzała
Zgon wczesnych latorośli, których dziś korona
Świeża zielonym liściem, a już uschnąć miała.

Tak to, przez Wasze dzieło, święte i wspaniałe,
Powstało pośród ognia, świstu kul armatnich,
Nowe Państwo, Wasz owoc i na Waszą chwałę,
Na ziemi, co dożywała niemal chwil ostatnich.

Podobnie też i w Polsce, w przededniu pokoju
Gdy naród konał z głodu, Tyś podał Mu rękę,
Ludziom u stóp przepaści, wśród trudu i znoju
Tyś pośpieszył z pomocą i ukrócił mękę.

To też pozwól nam dzisiaj, w szczerem uniesieniu,
Wznieść tu do Ciebie wspólnie nasze głosy skromne
Ze słowami wdzięczności, żeś pomógł w niesieniu
Krzyża, kiedyśmy byli, jak ptaki bezdomne.

Strofa, poświęcona działalności prez. Hoover'a w Polsce, czyni nam ten piękny wiersz szczególnie miłym.

Powieść bez romansu

Ustalił się typ powieści: jest to zawsze historja jakiegoś romansu. Powieść bez romansu prawie że nie istnieje. W każdym razie bywa to złą rekomendacją dla tego rodzaju utworów. Okazuje się jednak, że można napisać zajmującą, żywą powieść i bez opisów dramatów czy komedji serca. Zrobił to p. Bruno Winawer, znany komedjopisarz. Jego powieść pt. „Dług honorowy" unika wszelkich erotycznych wiwisekcji, bawiąc się tylko naukowym żartem i ludźmi, którzy przez zbytnią uczoność przychodzą do zgoła zabawnych, choć i wcale ciężkich sytuacji. Doktór Wiktor Mec, znakomity fizyk, przyszła chluba nauki, w Warszawie wykłada swój przedmiot w szkołach. Wreszcie wprowadza w arkana tej wiedzy już tylko jakiegoś zwarjowanego szlachcica. Nie można powiedzieć bowiem, że Warszawa sprzyja pracy naukowej. Mec, czystej krwi badacz, schodzi na psy. Uczestniczy w jakiejś ciemnej sprawie „hałasomierzy". Wysłuchuje cudackich bredni o transformacji energji, zawartej w pustej gadaninie na siłę dynamiczną. Wogóle Warszawa posiada tylko tego typu wynalazców. Dopiero w Berlinie Mec odnajduje lepszą atmosferę, ale też nie przez ludzi serjo. Tu nawet idjota „szalony Mułła" staje się Krezusem, gdyż potrafi robić interesy na nauce. U nas zarabia się, ale tylko na magji lub spirytyzmie.

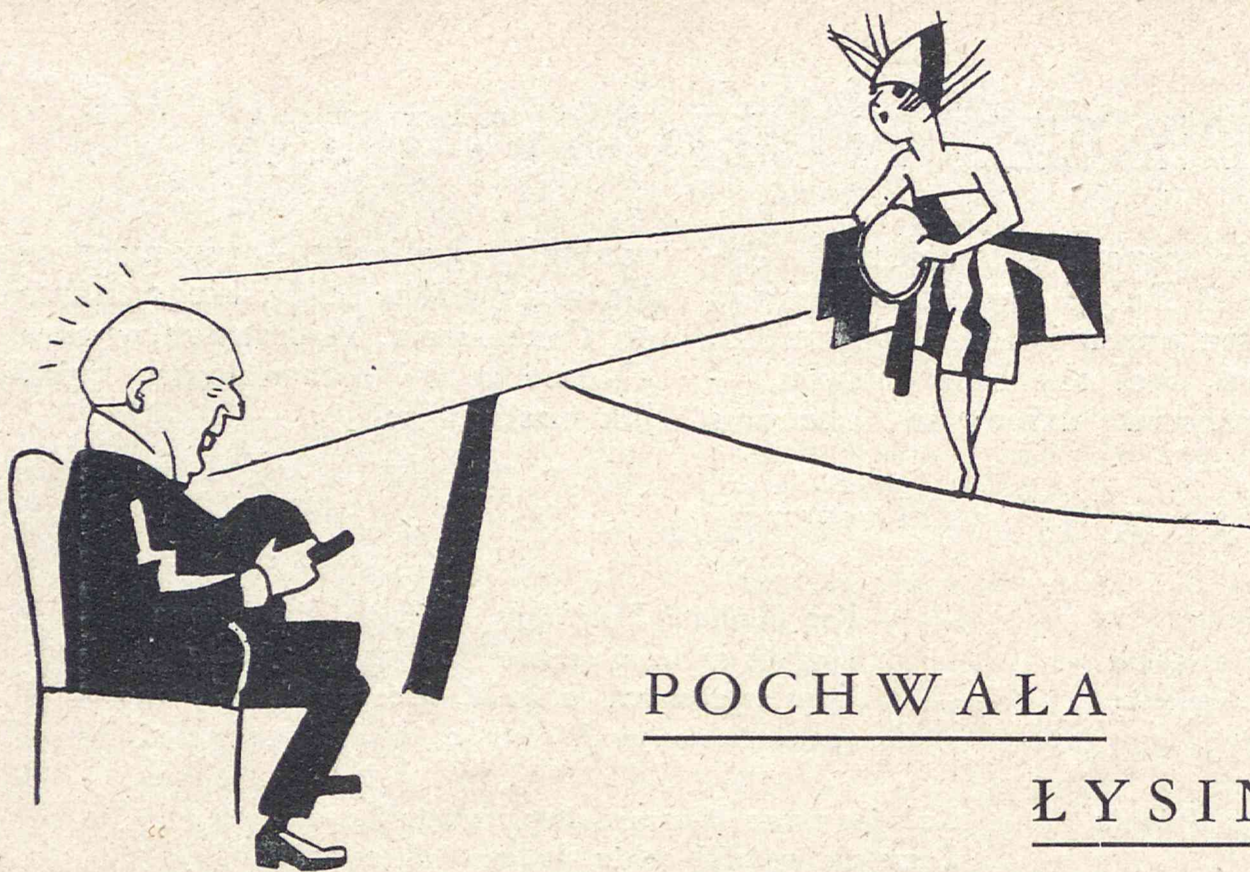
Powieść p. Brunona Winawera inteligentnemu czytelnikowi dostarcza wielu przyjemnych i wesołych chwil: jest ona w naszej beletrystyce unikatem dodatnim pod każdym względem. Łagodny humor zdeklasowanych, ubogich pracowników nauki oddziaływa niezmiernie kojąco. Zdarzy się i taki bohater, którego wzór przesiadywał w „Ziemiańskiej" lub w „Kresach". Spotkanie znajomka na kartach książki musi ucieszyć uprzywilejowanego czytelnika. Jeżeli nie może się zaliczyć do towarzystwa tych bohaterów, a jednak coś niecoś otarł się o wiedzę, też uraduje się, czytając ten „dług honorowy". Akcja toczy się w Warszawie, Pradze Czeskiej, Berlinie, a to by nie pofolgować w ataku na humor!

Bruno Winawer swoją powieścią bez romansu zapisze się wdzięcznie w pamięci licznych wielbicieli jego talentu. Możepanie tylko będą cokolwiek niezadowolone. Bo i jak to tak mógł postąpić autor wbrew tradycji, wbrew utartemu zwyczajowi: napisał ciekawą powieść bez cierpień kobiecego serca.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ



W dniu 26 b. m. w kościele PP. Wizytek w Warszawie odbył się ślub kpt. Romana hr. Potockiego z księżną Anną Czetwertyńską. Na uroczystości ślubnej oprócz licznego rodzeństwa i krewnych młodej pary byli obecni: kard. Kakowski, b. prem. Skrzyński, poseł prof. Rybarski i inni.

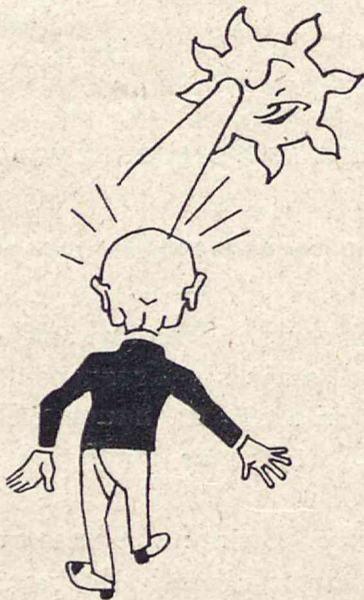


POCHWAŁA ŁYSINY

Łysina! Zaczyna się kształtować tak powoli, że zrazu nie zauważysz jej wcale. Wybiera sobie rozmaite miejsca, raz tu, raz tam. Więc u jednego gentlemana przerzedzają się stopniowo włosy na wypukłości czołowej, aż powstaną dwie dolinki, zapadłości w spodniej masie włosów. U innego rodzi się na sklepieniu czaszki w miejscu, gdzie automatycznie rozdzielają się włosy i tworzy na samym czubku głowy niby oko, niby słońce, niby tonsurę kleryka. Może również rozszerzyć się z jednej i drugiej strony czoła, a równocześnie na szczycie głowy i wówczas nie powstrzymacie już jej rozwoju.

Był wielki las, a potem, gdy głupie włosy poczną wypadać, pejzaż głowy ulega rozmaitym przemianom. Kiedy łysina przychodzi z czoła i dwie dolinki wbijają się klinem we włosy, głowa wygląda niby góra, na której stokach wycina się brzeg lasu; dalsze uwłosienie pozostaje i na szczycie jeszcze gęste i na potylicy jeszcze obfite. To znowu, kiedy łysina ukazała się od tonsury i zmiotła gęstwinę włosów, często pozostaje na froncie kępka włosów, która się opiera niszczącej sile i trwa nieznużenie na posterunku, niby wysunięta placówka. Kiedyindziej głowa łysieje całkowicie w pośpiesznem tempie, pozostają tylko skrawki owłosienia, które nikną również, jak trawa wzdłuż wielkich dróg automobilowych, gładkich, wypolerowanych. Albo też pozostaje tylko parę samotnych kępek, śmiesznych w swej uporczywości, podobnych suchotniczym palmom na piaskach pustyni. Nieraz nie wiadomo wprost, co zrobić z temi resztkami, pozostającemi nad uszami i z temi firankami, które opuszczają się smutnie i żałobnie ku karkowi.

Aż wreszcie łysina zwycięża na całej linji i wtedy głowa, wolna od zbytecznych włosisków, osiąga nieoczekiwany wygląd, białość masy perłowej i najdelikatniejsze, różowe tony naskórka małego prosiaczka. I wówczas — tak, jak gdy wycina się las, widać nierówności terenu, dawniej niedostrzegalne — tak ukazują się nagle na głowie wzgórki, guzy, narośle, wydatności o najprzeróżniejszych formach, które mogłyby równie dobrze świadczyć o pewnych dziwacznościach mózgu w stanie zaczątku, jak i o genialności danego osobnika.





Wówczas też możecie z dumą pokazywać własną nagą głowę, możecie chełpić się wspólnotą łysiny z szeregiem wielkich ludzi historji, dawnej i współczesnej, którzy z łysiną, a może właśnie dzięki łysinie, doszli do szczytu powodzenia. Wymienić ich? Ależ szereg ten jest wprost nieskończony. Możnaby przypuścić, że łysina jest oznaką charakterystyczną wielkości, jest chryzmatem wybrania, cechą, którą spotyka się u wszystkich niemal wyższych jednostek, jakie pozostawiły po sobie pamięć na świecie.

Czy pierwszy człowiek, Adam, był łysy, historja nie wspomina. Ale nie neguje również możliwości łysiny. Natomiast wszyscy patrjarchowie starożytni, którzy dożywali lat Matuzalemowych, byli niewątpliwie łysi, bo trudno wyobrazić sobie, aby uwłosienie ich zdołało przetrwać tak długie lata. A filozofowie greccy i rzymscy, a cezarowie, których rysy przechowała nam historja i tylu, tylu, innych wszak to wszystko przedstawiciele budzącej szacunek łysiny.

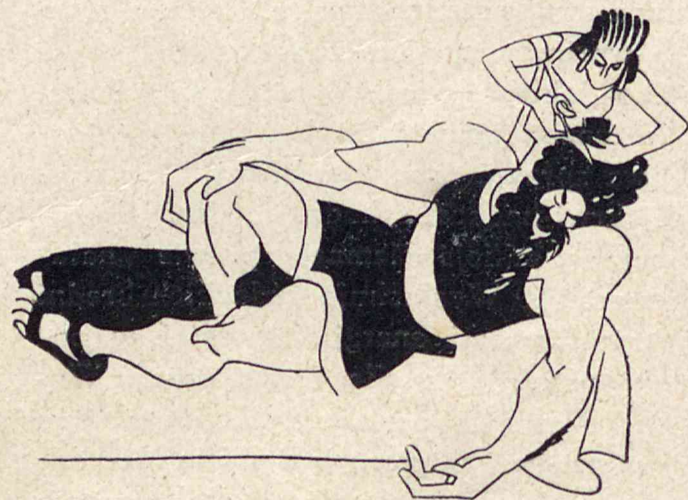
Najklasyczniejszym z tych przedstawicieli będzie niewątpliwie król Karol Łysy, najwybitniejszy członek dynastji Karolingów, fundator narodowej monarchji francuskiej. Z pośród wszystkich zalet i zasług tego króla, historja i głos ludu wyróżniły tylko jedną, jedyną cechę i związały ją z imieniem panującego: Łysy — Karol Łysy. O innych władcach się mówi: Piękny, Dobry, Długi, Gruby. Karol pozyskał sławę najwyższą: Łysego.

Ale mógłby ktoś powiedzieć, że łysina nie zawsze wychodzi człowiekowi na pożytek i przytoczyć jako przykład Samsona. Czy jednak można uwierzyć w opowieść o człowieku, który miał siłę we włosach i dzięki temu zabił tysiąc Filistynów jedną oślą szczęką? Zresztą, ołysiawszy wskutek oszukańczej zdrady Dalili, dokonał jeszcze większego dzieła, bo obalił w gruzy świątynię nieprzyjaciół Izraela. Łysy okazał się silniejszym od owłosionego. Widocznie Dalila wyśledziła jeszcze jakieś inne, istotniejsze tajemnice jego siły i w to właśnie słabe miejsce go ugodziła. Gdyby zaś Samson był już łysy, poznając piękną niewierną zwodnicę, byłby zapewne także mądrzejszy i nie poszedłby tak łacno na lep słodkich słówek. Przeciwnicy łysiny i szydercy lichym się posługują argumentem.

Przeciwnie, łysina była po wszystkie czasy czemś godnem szacunku, a nawet zazdrości. Najlepiej poucza nas o tem historja peruki. Czemuż właśnie peruka minionych wieków nadawała taką godność noszącym ją osobom, że stroili się w nią wszyscy, bogaci i ubodzy? Powiecie może, że chcieli w ten sposób ukryć łysinę? Nie, napewno nie! Jakiż bowiem cel mieliby w noszeniu peruk ci, którym przyroda nie poszczędziła włosów? A przecież oni właśnie, biedacy, nieraz zlewali się potem, nie chcąc jednak zrezygnować z tego nakrycia głowy. Bo, używając peruki, chcieli uchodzić za łysych, a przez to dostojnych i szanownych! I oni to, niewątpliwie, wymyślili perukę, by ukryć wulgarność przyrodzonego owłosienia. Podobnie jak Japończyk, który najtroskliwiej wygala przyrodzone brwi, a pyszni się sztucznemi, gdzieindziej umieszczonemi.

I jakże zdrowa i hygieniczna jest łysina! Przez mniej lub więcej gęste owłosienie głowy nie przenikają nigdy słoneczne promienie. A natomiast łysa, gładka, wypolerowana głowa poddaje się najbardziej bezpośrednio radjoaktywnemu działaniu słońca. Jakież to ułatwienie w tych czasach, kiedy helioterapia cieszy się takiem uznaniem i sławą.

Albo przejdźmy w dziedzinę życia sen-



ŚWIAT SAMOCHODOWY

Samochód a nasza taryfa celna

I.

Jedną z wielu przyczyn, które tamują należyty rozwój automobilizmu w Polsce, jest bezsprzecznie nasza polityka celna, która utrudnia import samochodów do kraju.

Rozumiemy doskonale, że równowaga naszego bilansu handlowego, wywożenie waluty naszej zagranicę i t. p. względy nakazują jaknajdalej idące ostrożności w tej mierze; nie możemy się jednak zgodzić na to, by samochód był traktowany jako artykuł luksusowy, by ponad miarę utrudniony był przywóz jego do kraju.

Kraj nasz, ubogi, dźwigający się z trudem po wojennej zawierusze z wielu niedomagań, upośledzony przez złe drogi i słabo rozwiniętą sieć kolejową, musi przywiązywać dużą wagę do rozwoju ruchu samochodowego. Niestety. Na przeszkodzie stoi wygórowana taryfa celna.

Względy praktyczne i względy strategiczne domagają się stanowczo rewizji tej taryfy.

Coby zrobił Paryż w czasie wojny, gdyby podczas bitwy nad Marną w ostatniej decydującej chwili dowództwo nie było rzuciło wojsk i zapasów amunicji na front przy pomocy tysięcy taksówek? A tabory dowożące amunicję, broń i pożywienie dla wojska na froncie? Jaką rolę w czasie wojny odgrywa samochód, nie może być wątpliwości!

A w czasie pokoju?

Zagranicą niema prawie lekarza i adwokata, nie posługującego się stale samochodem. Oszczędność na czasie, przedewszystkiem. Wyobrazić sobie tam już wprost niepodobna człowieka, obarczonego większemi interesami, zmuszonego do załatwiania spraw na mieście — bez samochodu.

Na wsi samochód nabiera pierwszorzędnego znaczenia komunikacyjnego. Zagranicą wyparł pojazd konny doszczętnie. Komu chciałoby się na Zachodzie jechać z majątku ziemskiego do stacji kolejowej godzinę czy parę godzin końmi? A dowóz artykułów żywności z wiosek okolicznych do miasta? A mleko? W każdej dziedzinie życia samochód uczynił się niezastąpionym. Od dawna przestał być artykułem zbytku, „luksusem". W walce o byt stanął na jednem z pierwszych miejsc i przyczynia się chlubnie do ułatwienia i uprzyjemnienia życia, do obniżenia jego kosztów.

Niepodobna sobie wyobrazić już dzisiaj kulturalnego społeczeństwa bez samochodów.

Przeciwnie, rząd i czynniki odpowiednie powinny ułatwiać ich import do naszego kraju, bo to powiększa bogactwo, zwiększa bezpieczeństwo kraju i rozwija życie praktyczne, a nadewszystko: w najkrótszej drodze prowadzi do zakładania własnych fabryk. Jeśli naturalna potrzeba zaopatrywania się w samochód nie będzie sztucznie tamowana, jeśli zbyt ich będzie rósł,—muszą powstać własne, krajowe fabryki. Dopomogą do tego producenci zagraniczni.

Nie myślimy rzeczywiście o zniesieniu ceł ani nawet o znaczniejszem ich obniżeniu. — Chodzi nam o rozumną, celową rewizję stawek celnych, dotyczących samochodów i ich poszczególnych części. Szczegółowo zajmiemy się tą sprawą w następnym numerze naszego pisma.

Nowe opłaty od samochodów

Projekt ustawy, przyjęty na ostatniem posiedzeniu rady ministrów, wprowadzający specjalne opłaty od pojazdów mechanicznych, ma na celu uzyskanie nowych źródeł finansowych dla uporządkowania gospodarki drogowej. Opłaty takie istnieją w b. wielu państwach i zazwyczaj przeznaczane są w całości na inwestycje drogowe.

Projekt przewiduje mniejsze opłaty od samochodów nieluksusowych, natomiast większe od luksusowych, mniejsze opłaty od ciężarowych małych, a większe od dużych, które więcej psują drogi. Przewidywane jest też zróżniczkowanie opłat między samochodami, używanemi dla własnych potrzeb, a używanemi w celach zarobkowych. Te ostatnie płacić będą więcej ze względu na większe zużycie dróg.

Zasadnicza stawka podatku oparta będzie na opłacie od każdych 100 kg. wagi własnej pojazdu mechanicznego. Podatek ten wyniósłby naprz. od Forda osobowego około 300 zł. rocznie, a od Royce'a około 1.300 zł. (do użytku własnego), od ciężarowych o wadze własnej 1 i pół tonny podatek wyniósłby około 370 zł., 3 tony około 1.000 zł. rocznie, etc.

Teoretycznie wpływ z tego tytułu przewidziany jest w wysokości około 13 milj. zł. rocznie. Wobec jednak tego, że część samochodów będzie zwolniona od tego podatku, cyfra ta będzie nieco mniejsza. Zwolnione będą od podatku samochody dyplomatyczne, urzędowe, władz samorządowych, pojazdy użyteczności publicznej (szpitali, straży ogniowej, etc.), traktory używane dla celów rolniczych oraz pojazdy mechaniczne, używane do przewozu produktów rolnych i towarów wyłącznie w obrębie posiadłości właściciela.

„NAGRODA TEAM'ÓW"



Po raz pierwszy w Polsce rozegrana t. zw. „nagroda team'ów" (zespołów), wygrana przez 3 pierwszorzędnych naszych asów samochodowych: (od lewej do prawej): Pawła Bitschana, Stanisława Hahna i Wacława Swobodę.

Zimowy raid automobilowy

Krakowski klub automobilowy organizuje raid samochodowy z Krynicy do Zakopanego. Wozy wyruszą z Krakowa dn. 10 lutego b. r. Punktacja przewiduje nagrody, stosownie do ilości przejechanych kilometrów.

Ford w Rosji

Nowojorski dziennik „Journal of Commerce" donosi, że Ford ukończył pertraktacje w Rosji, celem uruchomienia w tym kraju fabryki samochodów, która mogłaby dostarczać 100.000 samochodów rocznie. Odpowiednie pertraktacje ukończone zostały w Ameryce i, jak twierdzą wtajemniczeni, dlatego tylko dały wyniki zadowalniające, że Ford nie posiadał żadnych objektów w Rosji przed wojną, nie było więc mowy w czasie pertraktacji o żadnych odszkodowaniach.

Rząd sowiecki zagwarantował sobie 60% akcji w przedsiębiorstwie Forda w Rosji, Ford zaś zatrzymuje dla siebie 40% akcji. Fabryka ma stanąć w Moskwie i rozpocząć produkcję za 2 lata.

Nowe rekordy

W lutym r. b. spodziewać się należy wybitnych rekordów szybkości.

Major Segrave i kapitan Malcolm Campbell ubiegać się będą o palmę pierwszeństwa. Major Segrave pojedzie na Daytona Beach na Florydzie, kpt. Campbell na wybrzeżu afrykańskiem. Obydwie maszyny współzawodników wyekwipowane są w motory 1.000 konne angielskie.

Światowy rekord szybkości obecnie należy do amerykanina Ray Keech i wynosi 208¾ mieli na godzinę. Tak Segrave, jak Campbell utrzymują, że uda im się pobić ten rekord.

Wyścigi autobusów

W lutym na drodze między Paryżem a Pau odbędą się wyścigi autobusów. Będzie to pierwsza impreza tego rodzaju w Europie. Stosownie do regulaminu, każdy autobus będzie musiał mieć pełny ładunek, t. j. tyle osób, na ile jest zbudowany. Przeciętna szybkość wynosić ma 40 klm. na godzinę, co należy uważać za zbyt wielkie tempo dla tego rodzaju samochodów. Autobusy, to nie samochód spacerowy, lekki i zwrotny, który bez narażenia życia pasażerów może wykonywać takie przeciętne szybkości.

Bugatti buduje 16-to cylindrówki

Znany tryumfator wyścigów samochodowych Ettore Bugatti buduje obecnie nowe „cudo techniki" samochodowej, bo 16-to cylindrówkę, w której pokłada wielkie nadzieje w sezonie wyścigowym 1929 roku. Zapewne jak dotychczas, tak i nadal Bugatti'emu szczęście będzie dopisywało i z tym nowym typem.

„Raid gwiaździsty" do Monte Carlo

Książę Monaco wręczył dnia 27 b. m. hr. Tyszkiewiczowi I-szą nagrodę swego imienia za praktyczność samochodu „Stetysz", oraz plakietę za ukończenie raidu. Hr. Tyszkiewicz w raidzie jechał do Lyonu przed wszystkiemi samochodami, mając najlepszą przeciętną. Między Lyonem i Avignonem jeden z towarzyszących hrabiemu szoferów dostał ostrego ataku ślepej kiszki, wskutek czego „Stetysz" musiał się zatrzymać w małem miasteczku, gdzie szofer został oddany pod opiekę lekarską, a na jego miejsce brakujący balast uzupełniony był nowym pasażerem. Z tego powodu ostatni etap Lyon — Monte Carlo przebył „Stetysz" ze znacznem opóźnieniem, ze względu jednak na znakomite wyniki w przeciętnych poprzednich etapach, „jury" raidu uznało polski samochód za kończący raid i zakwalifikowało go do konkursu miejscowego, w którym otrzymał nagrodę księcia Monaco za praktyczność.

Żaden z pozostałych polskich uczestników raidu do Monte - Carlo nie przybył. Jak stwierdzają raporty, przeszkodą była gęsta mgła, która we Francji tak dała się we znaki naszym kierowcom, że zaniechali dalszej jazdy.

Trudno sobie doprawdy wyobrazić, by mgła w tak poważnych zawodach, w których chodziło o „barwy polskie", była przeszkodą do przybycia z miejscem naszym sportsmanom, zwłaszcza skoro udało się uczestnikom przebić przez zaspy i śniegi w Polsce i Niemczech.

Dobrze się stało, że choć jedna polska maszyna zdołała dotrzeć do Monte-Carlo.

NOTATKI LITERACKIE

SZTUKA LITERACKIEGO PORTRETU.

Sztuka literackiego portretu w społeczeństwach o wyrobionym smaku i starej kulturze budzi zainteresowanie i podziw niemniejszy od subtelnej obserwacji beletrysty. Jest to jakgdyby ekstrakt wyłowiony z wysiłków twórczych: wskazuje i wartościuje chwyty, sposoby, nałogi pisarzy. Odkrywa ukryte filjacje pomysłów. Odsłania zasoby intelektualne, sympatje psychologiczne, inercyjne ciążenia życiowych przyzwyczajeń.

Napisanie mistrzowskiego portretu literackiego wymaga często większego wysiłku twórczego, niż nakreślenie sylwety beletrystycznej. W beletrystyce wystarczy, że postać jest żywa, zajmująca. Nikt nie sprawdza, czy jest prawdziwa. W portrecie literackim nie może być urojona. I to jest właśnie trudne. Konterfekt musi być prawdziwy.

Odchylenia od pionu prawdy zdecydują o przenikliwości, pewności oka i sądu krytyka. Ukazała się obecnie serja II „Portretów" Zdzisława Dębickiego. Na książkę tę złożyło się 21 sylwet, przeważnie pisarzy starszego pokolenia. Portrety te dają możność stwierdzenia wielkiej zalety pióra Dębickiego: jest ono spokojne. Potrafi zachować równowagę nawet wobec pisarzy psychicznie obcych temu krytykowi. W czasach obecnych należy to specjalnie podkreślić, gdyż w opinji powojennego ogółu tylko paszkwiliści, wątrobiarze, mizantropi lub zgoła prostaczki uchodzą za reprezentantów krytyki.

Należy się spodziewać, że Zdzisław Dębicki nie poprzestanie na tym tomie „Portretów". Warto jest też sięgnąć do pokolenia młodszego, wyrosłego po wojnie. Jego spokój i równowaga sądu bez obawy mogą zmierzyć się tak z megalomanją reklamistów, jak i zasługą szczerych artystów słowa.

DOOKOŁA EKRANU

(„Wicher“ z Liljaną Gish. — „Miasto cudów“ z Douglasem Fairbanksem w „Stylowym“ i „Rococo“. — „Małżeństwo“ z Brygidą Helm w Wodewilu. — „Pantera“ w „Casino“. — „Ostatni rozkaz“ w „Tęczy“, — Pola Negri w „Quo Vadis“. — Harry Peel w „Palace“.

Dawno już nie oglądaliśmy na ekranie uroczej Liljany Gish. Ta „złamana lilja“ i „męczennica miłości“, którą otaczali takiem uwielbieniem bywalcy kina, od pewnego czasu przestała się ukazywać ich oczom, zasunięta w cień przez inne „star“. A szkoda, bo przecież Liljana Gish nie straciła dotychczas nic ze swego dziewczęcego uroku, mimo, że twarzyczka jej jakgdyby wydłużyła się, zmężniała. W „Wichrze“ właściwie bohaterem jest sam wicher, zawieja, podnosząca tłumy piasku, wyjąca i jęcząca, burza wietrzna, doprowadzająca do szału nerwy ludzkie, nieustająca, okrutna, bezlitosna w swoim dzikim, świszczącym porywie... Liljana Gish, to biedne dziewczę ze słonecznej, cichej krainy, które los rzucił na płaskowyże Arizony; gra jej pełna wyrazu dramatycznego, a jednocześnie i naturalna, posiada swoisty, odrębny wdzięk. Doskonali są jej partnerzy, zwłaszcza Lars Hanson o niezwykłej urodzie, tym razem może mniej dopasowanej do odtwarzanej postaci.

Prześliczna legenda południowo-amerykańska o El-Gaucho, rozbójniku, który nawrócił się i na drogę cnoty wstąpił— sfilmowana doskonale jako „Miasto cudów“, nietylko pociąga pięknem plenerów i urokiem poezji, lecz i wyborną grą wszystkich odtwórców, a przedewszystkiem Douglasa Fairbanksa i jego partnerki Lupu Velez oraz znakomitą reżyserją. Obraz zasługujący na modną dziś nazwę „przeboja“, aczkolwiek nie może uchodzić za arcydzieło kinematografji amerykańskiej — jest jednym z lepszych obrazów sławnego Douga.

Przeciętnym, poprawnym filmem jest „Małżeństwo“. I znów główną atrakcją tego obrazu jest przedewszystkiem i prawie wyłącznie jego bohaterka, jedna z trzech „niesamowitych“ — Brygida Helm, której uroda trochę kanciasta ma w sobie niewątpliwie coś niepokojącego.

Druga „niesamowita“ — to Dolores del Rio. Występuje ona obecnie w obrazie „Pantera“, wyświetlanym w „Casino“. Obraz dość interesujący już choćby przez swoją egzotyczność, jakkolwiek oglądaliśmy już kilka filmów amerykańskich podobnych, które miały za treść miłość dziewczyny dzikiej do europejczyka. Napół ucywilizowaną indjankę odtwarza Dolores del Rio z wielką umiejętnością, jest naturalna, szczera i bardzo kobieca. Obraz o pogodnem zakończeniu ma wszelkie szanse, aby podobać się szerokiej publiczności; któż zresztą przepada za dziką, niezwykłą urodą Dolores del Rio tak samo, jak za niesamowitym wdziękiem wspomnianej wyżej Brygidy Helm i Grety Garbo.

W „Tęczy“, jako drugi program, idzie świetny film amerykański „Ostatni rozkaz“, w którym Emil Jannings daje niezapomnianą, znakomitą kreację.

Bardzo zajmujący jest film „Miłostki aktorki“ z Polą Negri w „Quo Vadis“, obecnie wyświetlany. Napiszę o nim obszerniej za tydzień, wart jest bowiem omówienia.

Harry Peel w „Palace“ ściąga tłumy publiczności wyjątkowo ciekawemi „kawałami“ w obrazie „Najniebezpieczniejsza przygoda“.

Tad. Kończyc

Z Moskwy sprowadzono do Warszawy w ubiegłym tygodniu zwłoki ś. p. Joanny z Hryniewiczów Płużańskiej i ś. p. Prof. Wiktora Biernackiego



Pierwszym inicjatorem i organizatorem ekshumacji i sprowadzań zwłok z Rosji do kraju jest znany Zakład Pogrzebowy **P. W. Łopacki** **Krak.-Przedm. Nr. 105. Tel. 76-06 i 276-06.**

OD ADMINISTRACJI

Zawiadamiamy Sz. P.p. Prenumeratorów, że cena prenumeraty „Świata“ wraz z kosztami przesyłki książek Bibljoteki Podróży Egzotycznych — stanowi na prowincję zł. 6.60 miesięcznie, w czem gr. 60 za samą przesyłkę.

Wszelkie rabaty udzielane są tylko od ceny prenumeraty netto, t. j. od zł. 6.— Na przesyłkę pocztową premjów płatnych: książek Bibljoteki Politycznej Hoesicka — nadsyłać należy, przy zamówieniach, każdorazowo gr. 90. Upraszamy Sz. Prenumeratorów o przekazanie niedopłaconych różnic.

TO I OWO

Rozmowa towarzyska przy kufelku:

— Niepiękne mamy czasy. Wszędzie kobiety, kobiety! W biurze, na poczcie. przy automobilach, na uniwersytetach. Gdzie spojrzeć, kobiety!

— Zapomniał pan dodać: i w domu też kobiety.

*

Poglądowe kazanie.

W pewnej luterańskiej wiosce w Prusiech pastor zwykł być przemawiać do swojej owczarni obrazowo, sądząc, iż jest to najlepszy sposób do nawrócenia grzeszników. W zapale krasomówczym, gromiąc zdradliwych mężów, poczciwy pastor użył takiego zwrotu:

„Nieobyczajne jest plemię mężów. Zły mąż podobny jest do zapałki o kiepskiej siarce, która zapala się o byle co. Dobry mąż jest jak zapałka szwedzka, zapala się tylko o własne pudełko".

*

— Twój mąż opowiada niekiedy wielce ciekawe anegdoty...

— Cóż takiego?

— Mówił mi, że kupił ci nowy kostjum.

— A to łgarz!

*

W prowincjonalnym cyrku:

Rozmowa z pogromcą dzikich zwierząt:

— Nie lęka się pan, że które z tych zwierząt może pana zjeść?...

— Wprost przeciwnie, mam obawę wobec nieustannych deficytów w kasie, że niedługo sam będę musiał je zjeść.





Z ŻAŁOBNEJ KARTY

W Szwajcarji zmarła śp. Halka Ducraine, młoda, utalentowana artystka dramatyczna i literatka. Była ona córką p. Kazimierza Hulewicza, b. wicedyrektora teatrów warszawskich i autora kilku granych w Teatrze Letnim komedji. Ukończyła w Konserwatorjum paryskiem klasę dramatyczną prof. G. Berz'a, a w r. 1916 otrzymała nagrodę, jako tragiczka. W r. 1917 debjutowała w Odeonie, grając w „Cydzie" Corneille'a rolę Chimeny. Pracowała też pod kierunkiem Sary Bernhardt i grała wraz ze znakomitą francuską artystką w sztuce pt. „Majowa Noc". Wielka Sara oświadczyła wtedy, że „lepiej nie można mówić wierszy Musset'a", niż to czyni HalkaDucraine.

Młoda ta, utalentowana i piękna artystka była autorką dwóch publikacji. „Misja kobiety" i „Kobieta polska". Sprawie propagandy polskiej oddała wielkie usługi, wygłaszając liczne konferencje w Paryżu i na prowincji francuskiej.

Przedwczesna śmierć H. Ducraine wywołała szczery żal wśród licznych znajomych i przyjaciół w Warszawie.



Ś. p. Halka Ducraine

Z KALOTECHNIKI

Marji St. Włosy z warg i brody usuwa na miejscu w zakładzie doktór specjalista.

St. St. Nie należy stosować kremów bez porady specjalisty, zwłaszcza t. zw. suche w tubkach. Przy suchej cerze, skłonnej do zmarszczek jedynie odpowiedni jest krem „Salome". Glicerynowe kremy są szkodliwe.

Ro. Kaz. Wągry można usunąć myjąc twarz „Perełkami Alkalicznemi", oraz płynem „Vesta".

St. R. Odpowiedni do każdych włosów i przywróci kolor pierwotny „Pigmin", nie zmywa się, nie brudzi.

Pani Kor. Płyn „Bisare" wstrzyma wypadanie włosów, usunie łupież. Dla prenumeratorów „Świata" rabat.

B. S. Wypadające włosy należy nadesłać do analizy do „Kalotechniki" Marszałkowska 116.

Dr. Z. K.

NIEMOWLĘTA

i dzieci starsze są częstokroć przedmiotem trosk rodziców wskutek niezmiernie częstych — właściwych temu wiekowi — niedomagań. Wiemy z doświadczenia o tem, że każda przypadłość u dzieci objawia się skokiem temperatury, budząc niepokój i trwogę wśród otoczenia. — Lecz nie należy poddawać się przesądnym obawom i przedewszystkiem ustalić z całą dokładnością wysokość ciepłoty u dziecka. Podług mego zdania należy posiłkować się termometrem KRAMERA, gwarantującym dokładne zorjetowanie się w stanie dziecka. Kiedy zjawi się lekarz, będziemy mogli udzielić tak ważnych dzięki temu wskazówek, że potrafi on zaordynować najwłaściwsze środki.

Dr. L. K.

TAM KUPUJCIE!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Wanda Reinschmidtowa.

14 stycznia zmarła w Warszawie ś. p. Wanda z Schummerów Reinschmidtowa, żona znanego publicysty i v.-prezesa Polskiej Ligi Gospodarczej. Zmarła była córką Wilhelma i Marji z Szermentowskich Schummerów, ziemian z radomskiego, a siostrzenicą znakomitego artysty-malarza Józefa Szermentowskiego.

Jej ujmująca prostota i wielkie serce jednało Jej liczne rzesze życzliwych i przyjaciół, którzy wiadomość o zgonie ś. p. Wandy Reinschmidtowej ze szczerym przyjęli żalem.

RUCH WYDAWNICZY

Niema tygodnia, aby na rynku księgarskim nie ukazało się kilka nowych powieści, tłomaczonych z języków obcych. Na pierwszem miejscu trzeba postawić J. Conrada „Nostromo" i S. Undsed, laureatki nagrody im. Nobla, pt. „Sygryda córka Euwransa".

Przełożono też M. Gorkiego „Fomę Gordiejewa", Panait Istratiego „Domnicę ze Snagow", L. de Couvray'a „Przygody kawalera de Faublas", J. K. Huysmansa „W drodze", Bl. Ibaneza „Kwiat majowy" P. Heysego „4 kobiety", oraz G. K. Chestertona „Tajemnica Ojca Browna".

Trzeba zanotować ukazanie się powieści Ch. Lucieta „Oddanie wrogowi", P. Frondaie „Woda Nilu" oraz Laurits Brunna „Podróż van Zantena". Jeżeli się do tego doda Awerczenki „Humor dla głupców" — będziemy mieli obraz beletrystyki przyswojonej naszej mowie w ostatnie tygodnie. Przyznać trzeba, że obfitość i różnorodność zadośćczyni wszelkim poziomom i wymaganiom czytelniczym.

Nadmiar materjału aktualnego spowodował, że byliśmy zmuszeni przełożyć „dział rozrywkowo-brydżowy“ do następnego zeszytu „Swiata“.

Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI

DRUK GALEWSKI I DAU Warszawa